Bezstratne (początek powieści) — Florian Konrad

"Nie uznaję mówienia do grobów. Nie wierzę, że są tam skrzynki pocztowe, przenoszące jakimiś tajnymi kanałami grypsy do innego wymiaru, który przypomina luksusowy domn dla emerytów, gdzie zmarli siedzą na skóranych sofach, popijają martini i słuchają występów Franka Sinatry i Mietka Fogga"

Jakub Żulczyk "Wzgórze psów"

Prolog

Mówię do ciebie przez czas, całe worki powietrza, papier, tusz i piksele, krzyczę przez skały, oddzielające nas pióra wymarłych gatunków ptaków, ich ślinę.

Nie pomyśl, że to metafora, słuchaj - krzyczę tu i teraz, ja - autor- amator, zbliżajaca się do Ziemi asteroida (piętnaście w skali Torino), ja - szacher-macher właśnie teraz móię do ciebie, czytelniku, podniesionym głosem, tonem wprawnego amokisty.

Jest druga czternaście w nocy, przedawkowałem, jak zwykle, kawę i nie mogę zasnąć.

Wyszedłem więc na spacer w głąb kartki, aby pogadać. Siedzę w fotelu, nózia założona na nózię. Grzejnik - tfu! - wentylator chodzi na pełnych obrotach (swoją drogą - ten to ma przejebany los - całe życie polegające na kręceniu się... krętacz w imię... - wątek urwany).

W pokoju jest zadusznie, panuje nieopisana wręcz gorącawa. Klimy - brak, okna nie otworzę, bo zaraz zlecą się niekumple - skrzydlate braci musze, meszkowe i komarze, by gryźć autora, ten zeszyt, przyrząd piśmienniczy.

A właśnie...

Na chwilę jestem zielonym, kupionym we włodawskim sklepie papierniczym piórem. Mój młody właściciel, nad czym ubolewam, chyba długo mnie nie poużywa, zostało mu niewiele czasu.

Chciałobym strzelać nabojami z tuszem, krzyczeć, by nie robił tego, co zaplanował.

Pisz mną, trzymaj w ciepłej, prawej, czasami spoconej dłoni. Nie odchodź, jestem dla ciebie, zawsze gotowe do użytku. Kalecz mną światy, a potem je odpetowuj w kryształowej popielniczce, albo naprawiej, wedle uznania.

Nie chcę, byś zrobił to, co zamiarujesz (w dodatku bez wyraźnego powodu, bo czymż jest depresja i mania samobójcza? To dwa kieszonkowe lusterka ze zdjęciami gołych dziewczyn na odwrocie).

Jestem piórem, przez które przeciekają filozoficzne rozkminy idioty:

- czemu każdy, a przynajmniej większość, słysząc/ mówiąc "w głowie" ma na myśli mózg, albo jego naj-

bliższe okolice? Równie dobrze mając kinol pełen kóz mogę powiedzieć "mam smarki w głowie" - i będzie to prawdą

- analogicznie: obgryzając paznokcie odgryzam sobie kawałki placów, poważnie!

Nie uciekaj, panie, młody właścicielu, który kupiłeś mnie za niecałe dwadzieścia zeta i planujesz używać w długie, zimowe wieczory. Zajeździć, jak samochód z lat osiemdziesiątych, któremu na stare lata przychodzi robić jako taksówka.

Wentylator wrzeszczy swoje wirandelle. Pióro i autor tekstu mielą niewidzialnymi ozorami, choć oboje są niemi. Choć nie urodzili się nigdy, nie wyprodukowano ich, co jest doprawdy niespotykane, nawet w Chinach, czy na Tajwanie, czyli w miejscach, gdzie generalnie powstaje wszystko, świat jest pomału i nieprecyzyjnie składany na nowo.

Zaraz wykluje się tekst. Cierpliwości. Na razie jest tylko myśl przypominająca dziwny, inny, osobliwy wymiar, gdzie wszystko jest na opak: szczęście jest przesycone bólem, ten zaś - zawiera w sobie nieopisaną dawkę... mało ważne.

Wymiar-miejsce uwieszone na wysokości kiszek, w żadnym razie - nie koło głowy (jak najdalej od rozumu!).

Kraina-szklana bańka, para-choinkowa bombka noszona tuż przy jelitach. Rodzący się tekst to wieś dyndająca tuż przy flakach, zamieszkiwana przez rolników zrośniętych ze swoimi ursusami i władimircami.

Zbyt brzydka i za dziwaczna, by rozmawiać o niej przed północą i na trzeźwo.

I. Zgorszlaki

Nogi baby wystające ze słomy. Cały niemal Żuchalin pokładający się ze śmiechu, choć to nie pierwszy taki wybryk.

Siedemdziesięciojednoletnia, do niedawna pani Janina, dla znajomych - Jaśka, teraz - zmieniona w kobietę-pajaca, sklauniała.

Janina Chomiuk - wariatka błaznująca z nudów, bo i co robić w ciasnym mieszkaniu w bloczysku, u córki?

Jaśka stoczona demencją.

Janina zasługująca na najwyższe współczucie, tak tęskniąca z arodzinnym domem, że niemal półoszalała ze smutku, zamknięta w nieludzkiej klitce, bo co jej Baśka dała - jeden ciasny pokoik, więziona przez najbliższą rodzinę, wcześniej - okradziona ze wszystkiego, co miała...

Żeby tak rodzoną matkę pozostawić bez niczego, ugadać notariusza, dać mu pod stołem wypchaną kopertę i sfinalizować transakcję kupna-sprzedaży bez wiedzy głównej zainteresowanej? Zezwierzęcenie, ja-

kiego świat nie widział, podpis podrobiła, córa z Piekła rodem, bo przecież z własnej woli Jaśka nie podpisała swoistego cyrografu; potem - zwabiła do siebie, niby tylko na weekend.

Czułe słówka, słodzenie, że stęskniliśmy się za mamą - a za plecami - rabunek w biały dzień...

Nie ma się co dziwić, że wymyka się i wraca, choćby żeby posiedzieć w cichrzu, czy zastronku...

Śmieszno-tragiczna historia starszej pani nierozerwalnie zrośniętej z miejscem, w którym mieszkała całe życie zarazem budzi uśmiech, jak i...

...no dobra, nie będę ściemniać - tylko uśmiech. Nie, bez "u" - tylko śmiech, rechot, bezrefleksyjne cieszenie michy gdy Stępniak, właściciel siedliska kolejny (który to już?) raz znajduje ukrytą w słomie, czy na strychu obory Chomiukową.

Współczujemy jej, na ogół, ale żeby tak nie wpowyśmiewać, nie podworować z żałosnej wariatki? Zwyczajnie się nie da, wężowe jęzory popuchłyby w paszczękach, ludzie umarliby otruci własnym jadem, albo rozsadziłoby ich nagromadzone w bebechach ciśnienie.

Nie, żebym sam był hiperświęty, łaził z dyndającą nad głową neonową aureolą, ale... czasami ma się ochotę uprać wieś, a ściślej - jej mieszkańców - w wybielaczu, wziąć szufelkę i po kolei zdzierać z każdego zaskorupiałe buractwo, ten cuchnący brud, błotnistawą, twardą maź. Patrzeć, jak spod swoistego pancerza wyłaniają się nowi, życzliwi ludzie.

Oczyszczać i rozgrzeszać, amchać szczotką-zmiotką niczym kropidłem, raz za razem zanurzając ją w święconym spirytusie.

Kołtuńskie społeczeństwo oborian, czy może raczej oboruchów, gdzie byle co wywołuje oburzenie, wiejskotypowe, nie różniące się niczym od innych wiejskotypowych, tak samo lepkich i żałosnych w swej pokracznej religijności, plotkarstwie, moralności na pokaz, betonowym i nienaruszalnym katoloicyzmie, dewocji przeokrutnej, potwornej ksenofobii, niewytłumaczalnej zawiści, pustogłowiu, brudasowani, et, kurwa, cetera.

Jaśka Chomiukowa i jej patologiczne przywiązanie do obejścia, z drugiej strony - w pełni zrozumiała miłość do ojcowizny.

Staruszka wypędzana z "co tu pani do cholery robi?" stodoły.

Żal, tęsknota za miejscem, z którego zostało się wyrugowanym, w zasadzie bez powodu. Okradzenie przez własną córkę. Podstępy, konowania (co za górnolotne określenie!), zrośnięcie się człowieka z ziemią, sztachetami, podwórkiem, spichrzem, eternitem pokrywajacym oborę.

Bajka-buraczanka, którą właśnie opowiadam.

Bajka-wylizanka, któwą uwielbiam szeptać swojej dziewczynie.

Tyle miejsc, przedmiotów, stanów. Kryształowe dzbanki i metafory. Przerzutnie i bure, pręgowane kocurzyska.

Ja wyciągający nogi. Może być pod słomą.

Zamknąłem się w ksiażce, która wije się pod wsią, niczym sieć tuneli. Nie, nie kanałów. To sztolnie.

Drążę coraz głębiej. Wbijam się w glebę. Jeśli wyjdę na powierzchnię bez okularów ochronnych - oślepnę, słońce wypali mi gałki oczne, do kości.

Wreszcie: bajka-ochlejanka mamrotana za sklepem przez sine, napuchnięte masy procentusiów.

...czy istnieje bajka-nostalgianka? Jeśli tak - kto ją opowiada?

II. Drałowanie

Czarne i jałowe, bezgwiezdne niebo. Noc spowijająca wszystko, bezlitośnie, brutalnie. Noc, która nie bierze jeńców.

Ja spowijany przez noc.

Płachta okrywająca drzewa i drogę.Parawan odzielajacy mnie od logiki - bo jak to tak, żeby nic nie było widzialne?

Bzdura, plotka wizualna, jakaś fatamorgana. Przecież nie może istnieć aż tak głęboka ciemność... Coś spotwarnia i wykoślawia dobrze znany krajobraz, zmienia go w majak, pejzażyk malowany przez ślepca.

Obracanie się, mozolne. Round around o'clock.

Chudziutkie refleksy. Toczę się w mdłym świetle zamontowanej na przednim błotniku lampki. W dłoni trzymam maleńką, ledową latarkę.

Pierwszy raz w życiu pokonuję w nocy, rowerem, tak długi dystans. W głowie dudni słyszana przed ponad godziną Kryzysowa narzeczona.

Bywam oślo uparty: ani fatalna pogoda, ani utrata prawa jaszdy, relatywnie duża odległość (dwadzieścia kilosów w jedną stronę) nie przeszkodziły mi w...

Hopp! - zachetany rowerzyna podskakuje na nierównościach drogi. Wpadam w koleinę i niemal tracę równowagę.

Szosy prowincjonalnej Polski - jak po bombardowaniu, śmiertelnie niebezpieczne, gdy jedzie się pierdopędem typu skuter, motorower, gdy się pedałuje. Wypadkogenne szosiska poklejone smołą, żużlem, majonezem, perforowane przez zimę.

...w pojechaniu na Dni Hempalina. Czego jak czego, ale koncertu Lady Pank nie chciałem odpuścić. To nie fajansiarscy discopolowcy słodko pierdzący ckliwostki o dziewczynie bez pamięcy zakochanej w białym misiu.

"Królowie rocka" - jak zapowiedział konferansjer, hitotwórcy...

- i miałbym ich nie zobaczyć? Bo prawko zabrali zbóje w niebieskich mundurach, bo ciemno, zimno i do domu daleko?

Bez przesady, nie mam sześciu, czy siedmiu latek, by bać się wilka złego, który może czaić się w porośniętych czernią krzaczorach.

Wiedziałem, że jak zaczną grać po dwudziestej pierwszej, to nim skończą zapadnie zmrok i przyjdzie mi wracać w absolutnych ciemnościach.

Łe, nie taki diabeł straszny, myślałem, że będzie dużo gorzej. Noc, choć chłodna i bezgwiezdna, okazała się być przyjaznym miejscem, może nie aż przytulną, ale i nie zruderzałą do reszty, starą chatką.

Nie trafiłem do domu grozy, zamczyska z koszmarów zamieszkanego przez nietoperze, upiory, wampirzyska.

Jadę w kamizelce odblaskowej, welocyped ma oświetlenie, więc jestem w miarę widoczny. Z tyłu drogę oświecają wyprzedzające mnie samochody. Czeredy ich, hordy.

Pół okolicznych wiosek zjechało się, by zobaczyć Panasewicza i spółkę. Tylko ja z tak daleka - nieszczęsnym rowerem.

Niepowstrzymany przez mżawę, wcześniej - popsute światła w skuterze (tylko wariat-samobójca jechałby w nocy bez przedniego oświetlenia!).

"Aniołowie, jesli tylko są, kryją się w metalowych bunkrach..." - nucę początek, jedyne znane na pamięć wersy Małej wojny. Przypomnieli, skubańcy, piosenkę, której nie słyszałem dobrych piętnaście lat! Suuuper!

W ogóle - było lepiej, niż genialnie, nastroju nie popsuły mi nawet chichoczące, najpewniej po maryśce małolaty, gówniażeria, która uparła się, by poszpanować oralnie, pozgrywać jedni przed drugimi pretensjonalnych videoblogerów, influenserów, czy chuj wie, kogo jeszcze.

Chłopaczynki w rureczkach mizdrzący sie do pryszczatych panienek, smartfoneria nagrywająca cholera wie po co cały event, nieodklejalna od telefonów młodzież pokolenia Ż i obok ja - czornyj woron, brodaty dryblas w spranej nieco czapce z logiem Alfy romeo.

Kurde - jaki stary musiałem im się wydać! Trzydzieści trzy lata to w ich oczach niemal matuzalemowy wiek!

I - już jako zombie - wylądowałbym na policyjnym dołku, wyciągnięty z tłumu przez ochronę. Bo, chcąc ratować honor - biłbym. Dzieci.

Policzkowałbym premutacyjnych chłoptasiów, dawał w pysk czternastoletnim księżniczkom. Uczyłbym w ten - przyznaję - bandycki i psychopatyczny sposób elementarnego szacunku do starszych. Dawał nauczkę.

Noc, w którą się wkręciłem, nie jest magiczna. Pozbawiona księżyca i gwiazd, niejako wykastrowana, sprawia wrażenie studni bez wody.

Czarna i mętna, choć bez esencji, sucha i jednocześnie błotnista. Noc z unoszącym się w powietrzu szlamem, bagienna i stęchła.

Niemal pozbawiona komarów i innego krwiopijczego latajkurwia, beznoc załatana mchem i igliwiem, pełna dyndających w powietrzu ciężkich kałuż, maziochy.

Ciemna kraina padlin, rozjechanych kretów, lisów potrąconych przez samochody, do niedawna wrzeszcząca setkami gardeł o lasce, która mogła być już na dnie, a nie była.

Ździebełka traw wyśmiechiwane przez małolatów, kępy ciężkiego wkurwienia. Blada alfa romeo na moim bladym baniaku. Smętne i monotonne pedałowanie.

Nieopalenizna, lato, które nie rozpieszcza.

Ogrom tęsknoty, ślepe, dzikie i jednocześnie służalcze, psio wierne przywiązanie do Natalii. Moja niemęska, romantyczno-pokraczna płaczliwość.

Wszystko jest lotem, niezmiennie - w czarne i puste niebo. Na ostatnią wycieczkę w życiu.

Mijają mnie auta, krzewy, garbate konary. Toczę się do domu i czuję, jakbym pikował, jednocześnie - wznosił się.

Dziwaczne, doprawdy, uczucie kompletnego dualizmu, gry na oksymoronie szarpanym.

Wreszcie: świecący na żółto zakręt. Lekka aura tajemnoczości. Iluminacja dla ubogich.

Wypadający wprost na mnie, prowadzony przez jakiegoś łebka, prawie zabytkowy już golf dwójka. Za szybcy, za wściekli - polska, budżetowa edycja. Za pijani, za głupi.

Kamienieję, koła roweru przestają się kręcić. Oto sunie na mnie morda starej, czerwonej bestii, gorącooki smok made in RFN.

Choćbym chciał zrobić cokolwiek, by uchronić się przed atakiem - zwyczajnie nie mogę, jestem zdjęty strachem, wręcz sparaliżowany.

Golf, coraz bliżej. Zgraciały szrot prowadzony przez naprutego góra dwudziestolatka, niczym kij do - nomen omen - golfa, uderza mnie jak piłeczkę.

Wzbijam się w niebo, głową strącam całe chmary gwiazd, których przed chwilunią jeszcze nie było, zbijam gwiazdy mieszkalne, planety zamieszkiwane przez gwiazdy, konstelacje myślących mgławic, pulsary karłowate mieszczące w sobie skupiska mikrokosmosów, ożywione czarne dziury.

O - tych ostatnich jest najwięcej, wystrzeliwują jak z procy, by po chwili spaść mi na głowę, wchłonąć się. Zastąpić teksty piosenek Lady Pank.

Choć przez większość życia jestem ateistą - Bóg mi świadkiem, że kątem oka dostrzegam mijających mnie mężczyzn w waciakach. Jeden, z wielkim mozołem, taszczy castrum doloris, inni - ciężką, marmurową płytę z jakiegoś magnackiego sarkofagu, kolejni - nastawę ołtarzową pomalowaną w papuzie kolory, jakby była centralnym punktem kościoła hippiesów.

Gdzie spieszą? Skąd zachachmęcili, jaką światynię kawałek po kawałku rozbierają?

Ląduje mi się dość miękko, w paskudnym rowie. W nigdy niesprzątanym rowisku, pełnym zeschłych liści, zeschłej trawy, zeschłych kości zwierząt. W rowie, co jest jak obejmowanie padliny.

Gruchnięcie. Łomot rozcinający martwą przestrzeń. Trachchchchch! - rozlega się, dosyć groteskowo.

Batarejeczka wypada mi z dłoni. Spotkanie z matuchną Ziemią, dość nieprzyjemne. Łamokostne.

Zatrzęsienie gwiazd i liści, małe trzęsienie ziemi.

Golfiarz, wiejski Vin Diesel,spieprzający z podkuloną rurą wydechową, bez zatrzymywania się, bo i po co? Jeszcze by się okazało, że potrącony rowerzysta nie żyje, poszłoby się do pierdla za spowodowanie wypadku na cyku...

A niech leży sobie, padliniak rowerowy, po co się pętał po nocy? Mógł siedzieć w domu, pod kołderką, a tak - dojeździł się, dopedałował na śmierć.

...przysiągłbym, że tuż za antycznym golfem, na bajeranckim, dizajnerskim góralu, w błyszczącym garniaku przejeżdża sam Michał Szpak.

A może to Grzegorz Skawiński w peruce? Ciężko stwierdzić, ciemno, choć przednią lampę wykol... nie idzie odróżnić...

Noc pod postacią starego volkswagena zwaliła mi się na głowę, z hukiem. Noczysko, co się wypełnia we wklęsłościach, jako rzecze Dylan Thomas w moim ulubionym wierszu Światło wybucha, gdzie brak słońca.

Maska przechodzonego golfa wybucha w obitej głowie nieedawnego uczestnika koncertu. Biedaczyna otulony kokonem perzu, zrudziałego listowia, szarych traw.

Ból czający się w zakamarkach kory, w korzeniach lip.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 25.08.2019 12:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.